

Rafał Dębski

Raus! Raus, polnische Schweine!

Krzyk niósł się po obejściu, odbijał od ścian, wracał głuchym echem do uszu wołających, wciskał się we wszystkie szpary domostwa – przerażający, bezlitosny wrzask, przywodzący na myśl zarazem lodowaty ziąb piekielnej otchłani i straszliwy żar okrutnej pożogi. Mroźny świt przywitał świat skłębionymi chmurami, nabrzmiętymi ciężkim śniegiem. Bure kłęby dymu z kominów ścieliły się nisko, zapowiadając, że niebawem spadnie kolejny gruby dywan białego puchu. Wieś spała, jedynie co pilniejsze gospodynie wróciły już od krów i krzątały się, rozpalając piece, przygotowując poranny posiłek. W taką spokojną przedranną ciszę wtargnął niespodziewanie warkot motorów, a wraz z nim wrzaski żandarmów i żołnierzy. Drzwi zadrżały pod uderzeniami niecierplivej pięści tępego kaprała. Czekał na odpowiedź nie więcej niż trzy sekundy. Godni pogardy podludzie w środku nie otwierali stanowczo zbyt długo. Dumni panowie świata nie znosili opieszłości ze strony niewolników. Podoficer skinął na żołnierzy. Dwóch podskoczyło, kolbami załomotało w deski. Skobel ustąpił pod brutalnym naporem. Wtargnęli do izby, niosąc na płaszcach zimne powietrze oraz niepokojący zapach, jaki wydają lekko sfilcowane mundury. Pawełek zwinął się na łóżeczku przerażony. Z kącika ust pociekła mu strużka śliny, wsiąkła w poduszkę. Zakwilił, zaniósł się szlochem. Matka skinęła na Zosię. Dziewczynka natychmiast przypadła do braciszka, zaczęła gładzić go po rzadkich włosach. Za kapralem wszedł mężczyzna w długim skórzanym płaszczu i myśliwskim kapeluszu. Rozejrzył się z pogardą po skromnym wnętrzu.

– Zbierać się – zakrakał, gardłowo akcentując „r”. – Nijakich zbędnych kłopotów nie brać, tyle co w rękę wystarczy. Macie dziesięć minutów, żeby się ubrać i czekać tam. – Wskazał drzwi. – Cała wieś ma się zebrać *draußen, neben Kapelle...* na dworze, obok kapliczka. Wy zrozumieli? Ojciec patrzył na przybyłego z nienawiścią i strachem jednocześnie. Zosia nieraz słyszała, jak mówił o panu Genscherze, że szybko zapomniał czasy, kiedy nazywał się bardziej swojsko i zwyczajnie – Gąsior. Podobno leśni wydali na niego wyrok, ale gestapowiec dobrze się pilnował. Na co dzień siedział w Biłgoraju, w samym środku

miasteczka, a jeśli gdzieś jechał, to tylko z dobrą obstawą. Rodziną wieś odwiedzał jedynie od czasu do czasu, zawsze w towarzystwie wrzaskliwych podkomendnych. Przyjeżdżał do matki, która za żadne skarby nie chciała opuścić domu, porzucić mogiły męża. Genscher przywoził podarunki – cukierki, wędliny, czekoladę i inne dobra. Stara Gąsiorowa rozdawała je później biedniejszym rodzinom i głodnym dzieciakom. Dzięki temu Zosia niedawno pierwszy raz w życiu napiła się prawdziwej, aromatycznej herbaty.

– Wy zrozumieli? – powtórzył Genscher. – *Gruppenführer und Generalleutnant der Polizei*, pan Odilo Globocnik, ma zrobić z wami porządek, Polaczki, buntownicy! A twój brat, ty głupi Kosior – spojrzał ojcu prosto w oczy – wpadnie nam jeszcze w ręce. Zatańcują z nim w samym Lublinie.

W ojcu przerażenie walczyło z szaleństwem. Z Gąsiorem miał na pieńku jeszcze od przedwojny. Poszło o matkę, do której obaj swego czasu zachodzili. Wybrała Kosiora, choć wiedziała, że przy synu bogatego gospodarza wiodłaby o wiele wygodniejsze życie. Teraz mężczyźni patrzyli sobie w oczy bez mrugnięcia powieką. Wreszcie ojciec nie wytrzymał, splunął folksdojczowi pod nogi. Żołnierze natychmiast rzucili się na niego. Pięści zadudniły o twarde chłopskie żebra. Kosior padł na podłogę. Zanim głowa dotknęła zimnych desek, czub wojskowego buta wdarł mu się w usta.

– *Halt!* – wrzasnął Genscher. – *Weg, Herbert! Weg!!!*

Dieser Schweinehund soll gesund bleiben... Weile * – dodał po chwili ze złośliwym uśmiechem. Pochylił się nad krwawiącym mężczyzną. – Ty będziesz jeszcze żałować, gnój jeden, co nie kazałem cię zabić! A teraz won na dwór! Pawełek znów zakwilił, zwracając uwagę folksdojczu, który natychmiast podszedł do łóżeczka i spojrzał z obrzydzeniem.

– Jeszczeście się nie pozbyli tego darmozjad? Bogato u was, skoro utrzymujecie niepotrzebnego nikomu głupka.

– On nie jest głupi – pisnęła Zosia z dziecięcym oburzeniem.

– On tylko...

* *Dieser Schweinehund...* – Ten drań powinien pozostać zdrowy... Jakiś czas

– Ciebie nikt nie pytał, ty mała dziwka! – klasnął policzek.

Dziewczynka zasłoniła twarz przed następnym ciosem. – Ty ubieraj jego raz-dwa i wychodzić. Niemaczasu-niemaczasu!

Gestapowiec powiedział to prędko, jak coś, co powtarza się tysiąc razy, zupełnie odruchowo, nie myśląc o znaczeniu słów. Zaśmiał się głośno, jak to zapewne zwykł czynić, przebywając na partyjnych rautach w zdrowym teutońskim towarzystwie. Obrzucił jeszcze pogardliwym spojrzeniem gospodarza, po czym wyszedł.

Żołnierze popędzali rodzinę przy zbieraniu rzeczy, a potem z wrzaskiem i prześmiewkami wygnali wszystkich na dwór. Pod kaplicą zgromadziła się już cała wieś.

Genscher stał w odkrytym wojskowym samochodzie obok wysokiego oficera z monoklem w oku. Obaj z zadowoleniem przyglądali się pracy żandarmerii i wojska, folksdojcz aż przymykał oczy z rozkoszy, słuchając przerażonych krzyków i płaczu dzieci.

Zosia ciągnęła za rączkę opierającego się Pawełka. Ojciec szedł z przodu z workiem, do którego zdążył wrzucić co cenniejsze i mogące się przydać przedmioty, matka pilnowała ich z tyłu. Obok przebiegła młoda Halinka, żona zmarłego niedawno na tyfus kowala. W objęciach trzymała niemowlę. Próbowała przedostać się przez uzbrojony kordon, dotrzeć w pobliże oficera, chciała pokazać mu dziecko, prosić o łaskę. *Obersturmbannführer* tylko zmarszczył brwi. Wtedy roześmiany żołdak wydarł matce kwilące zawiniątko, spojrzał na przełożonego. Tamten skinął przyzwalająco głową. Obok Genscher oblizwał wargi, szybko, łakomie. Na oczach znieruchomiłej z przerażenia kobiety szeregowiec wytrząsnął niemowlę z miękkiej kołderki. Dziecko upadło mu pod nogi. Zachęcany krzykiem kompanów, podniósł podkuty but, aby z całej siły opuścić go na bezwładną główkę. Halinka krzyknęła wielkim głosem i zwała się ciężko na ziemię dokładnie w tym samym momencie, kiedy stopa oprawcy opadła. W tłumie zapanowała cisza. Przerażeni ludzie patrzyli na plamę krwi i nieruchome ciało. Na progu chałupy Gąsiorów pojawiła się matka folksdojczka. Patrzyła to na znieruchomiłe ciało, to na syna. Wreszcie odwróciła się, zniknęła na chwilę wewnątrz domu, a potem wyszła odziana w wełniany płaszcz i okutana barwną chustą. Genscher zeskoczył z samochodu, podbiegł do kobiety, zaczął coś szybko mówić, tłumaczyć, przekonywać.

– Pójdę tam, gdzie wszyscy! – doleciał jej podniesiony głos.

Genscher nalegał, potem zaczął groźnie wymachiwać rękami.

– A niech was wszystkich zaraza! I ciebie też, Józek!
Nie mam syna! Przeklinam cię! Nie uciszaj mnie! Możesz
się teraz nazywać Josef, Wilhelm albo jak tam zechcesz,
ale dla wszystkich tutaj zostaniesz przeklętym
przez matkę Józkiem!

Genscher znieruchomiał, odwrócił się na pięcie i odszedł
do oficera. Zosia patrzyła ze strachem. Folksdojcz
miał wzrok pusty i obojętny. Stara Gąsiorowa dołączyła
do tłumu. Ktoś pochylił się nad Halinką. Była nieprzytomna.
Dwóch mężczyzn podniosło ją, zarzuciło sobie
na barki. Od tej chwili nikt już nie krzyczał, nie protestował,
nawet małe dzieci zdawały się rozumieć, że nie
ma sensu płakać, bo w najeźdźcach nie wzbudzi to litości.
Tylko Pawełek opierał się i oddychał spazmatycznie, przechodząc
obok zwłok niemowlęcia. Zosia ciągnęła go z całych
sił, ale nie mogła dać rady. Pomogła dopiero stanowcza
dłoń matki.

– Co z nami zrobią? – spytała dziewczynka, patrząc
wielkimi oczami w zatroskaną twarz rodzicielki.

– Nie wiem. – Kobieta wzruszyła ramionami. Czuła,
że powinna jakoś pocieszyć przerażone dziecko, ale nie
mogła znaleźć słów. – Będzie, co Bóg da, córciu. Będzie,
co Bóg da...

Zosia spojrzała w pochmurne niebo. Czy Stwórca widzi
zza tych szarych kłębow, co dzieje się na Jego ziemi?
Pewnie nie, bo przecież nie pozwoliłby, żeby ten żołnierz
rozdeptał dziecko Halinki... Za plecami wysiedleńców
silnik horcha zawył na wysokich obrotach, kierowca ruszył
z fasonem. Genscher, pogrążony w rozmowie z oficerem,
nie zwracał na ludzi najmniejszej uwagi. Nawet
kiedy przejeżdżał obok matki, nie oderwał usługowego
wzroku od wyniosłego oblicza niemieckiego oficera.
Chudy chłopiec o zapadniętych policzkach i wielkich
ciemnych oczach stanął na skraju opustoszałej wsi. Daleko
z przodu, z leśnej alei, dobiegały wrzaski żołnierzy
i żandarmów, dał się słyszeć płacz dzieci, porykiwanie
bydła, prowadzonego bądź to na rzeź, bądź w celu
przekazania napływającym z Rzeszy osadnikom. Chłopiec
ruszył w stronę głosów. Wlókł się noga za nogą, niczym
człowiek, który przemierzył zbyt wiele dróg, żeby
mieć jeszcze siłę odrywać stopy od ziemi, jak ktoś, dla
kogo koniec wędrówki jest czymś niezmiernie odległym,
a może nawet nierealnym. Pootwierane drzwi chałup
ziały zimną pustką, choć przecież ludzie opuścili je dosłownie
przed chwilą. Porzucone domy potrafią zdziwić

bardzo szybko, w jednej chwili stają się nieprzyjazne, odpychające. Chłopiec widział już wiele wyludnionych osad. Niektóre były podobne do tej, inne ginęły w trzasku płomieni. Ogień był jednak mniej przerażający od takiej ciszy i pustki.

Uwagę chłopca zwrócił rozpaczliwy skowyt. Przy budzie w najbliższym gospodarstwie stał wielki, kosmaty kundel. Z podkurczonej przedniej łapy sączyła się strużka krwi. Widocznie wierny stróż próbował ugryźć przechodzącego obok intruza w cuchnącym nienawiścią mundurze. Przypłacił to nie życiem, ale kalectwem.

Chłopiec skierował się ku zwierzęciu. Pies na jego widok zapiszczał żałośnie, szarpnął się ku przybyszowi tak mocno, że łańcuch zadźwięczał niby rząd dzwonek przy saniach. Zwierzak przewrócił się na bok, z gardzieli dobyło się pełne bólu wycie. Na ten zew rozszczękały się wszystkie pozostawione w wiosce psy. Chłopiec podszedł do rannego stworzenia, pochylił się, zajrzał w pełne bólu oczy. Wyciągnął szczupłą dłoń z długimi paznokciami o czarnych obwódkach – dłoń, w którą brud wżarł się tak głęboko, że stanowił jedność ze skórą. Położył końce palców na łbie psa. Ten natychmiast umilkł.

– Śpij – powiedział mały człowiek nieoczekiwanie niskim, zachrypniętym głosem.

Pies przymknął oczy, westchnął głęboko i znieruchomiał.

Chłopiec podniósł głowę, spojrzął w stronę drogi, na której znać było ślady setek stóp. Wstał, popatrzył w pochmurne niebo, a potem poszedł przed siebie. Przystanął tylko na chwilę w miejscu, gdzie pod kapliczką krwawe bryzgi zabarwiły niewinną biel śniegu.

Ordynat Zamoyski siedział przy stole z twarzą ukrytą w dłoniach. Ostatnie wieści pogrążyły w rozpacz wszystkich domowników.

– Kolejarze robią, co mogą – szeptał Staszek, przysłany ze stacji w Biłgoraju. – Dają dzieciom jedzenie i picie, gdy tylko nadarzy się okazja. Ale nie wszędzie żandarmy dają podejść. A już na pewno nie tam, gdzie pilnują esesmani.

– Dokąd odszedł ostatni transport? – spytał ordynat.

– Ponoć do Zwierzyńca, do obozu. Ale to nic pewnego.

Równie dobrze mogą ich dalej wysłać w stronę Majdanka, a może i na Śląsk, do Oświęcimia.

Ordynat spojrział zaczerwienionymi oczami na kobiety słuchające z przerażeniem opowieści przybysza.

– Zaprzęgać konie – rozkazał. – Jadę do kwatery tego rzeźnika. Niedawno pojawił się w mieście, pewnie swoim zwyczajem urządza bal dla partyjnych towarzyszy.

– Jezus Maria – przeżegnała się żona arystokraty. – Janie, co chcesz uczynić? Przecież już z nim rozmawiałeś.

Niedawno. Uzyskałeś obietnice...

– Rozmawiałem, Róžo. – Hrabia zaśmiał się gorzko. –

To nie była rozmowa, ale posłuchanie u wszechmocnego władcy. Stałem pośrodku pokoju naprzeciwko trzech faszystowskich wieprzów w oficerskich mundurach. Rozpierali się w fotelach, z kieliszkami i cygarami w dłoniach, zadowoleni z siebie. A ja się zastanawiałem, czy któryś dla kaprysu nie zechce wysłać mnie zaraz do Oświęcimia. Obiecali, powiadasz? Tak, ale cóż to znaczy? Takich jak oni trzeba pilnować, przypominać im się na okrągło. Dzisiaj spróbuję raz jeszcze. Chcę się widzieć z tym rzeźnikiem sam na sam.

– Przecież Globocnik gotów cię aresztować, jeśli będziesz zbyt natrętny!

– Niech robi, co chce. Ale powinien przy tym pamiętać, że Zamoyscy to nie jakaś chłopska rodzina, którą można pozbawić wolności i życia, nie narażając się na żadne konsekwencje, nie wywołując protestów. Doskonale wie, że w razie czego ma się kto o nas upomnieć, nawet w samym Berlinie. Może niewiele mu w sumie zrobią, ale zawsze w partyjnych papierach pozostanie brudny ślad.

– Musi pan być jednak ostrożny, panie hrabio – powiedział Staszek. – *Gruppenführer* jest nieobliczalny. To ostatnie bydlę.

– Jak każdy z nich. Muszę spróbować coś zrobić, rozumiecie? Kolarze wraz z kobietami starają się wyciągać dzieci z transportów, dostarczają jedzenie wysiedlonym... Nie mogę siedzieć beczynn timer czekać tylko na łaskę *übermenschów*, drżeć, czy zechcą zrealizować obietnice. Kto wie, może zdarzy się jakiś cud? Módlcie się, kiedy mnie nie będzie. Módlcie się jednak nie za mnie, lecz za powodzenie mojej małej misji.

– Ale...

Ordynat uciął protest stanowczym gestem.

– Niech każdy uczyni, co może i na co go stać. Ludzie ryzykują życiem, pomagając nieszczęsnym wygnańcom. W każdym zakątku, gdzie dotrą transporty, gdzie pociągi

przystaną choć na chwilę, starają się przemycić do wagonów żywność i wodę. A ja mogę spróbować skorzystać z moich wpływów i koligacji. Jakiś tam Globocnik, choćby był głównym policmajstrem nie tylko w granicach guberni, ale na całym Świecie, jest tylko człowiekiem... Przynajmniej mam taką nadzieję – dodał ciszej.

Odilo Globocnik ledwie trzymał się na nogach.

– Wznoszę toast za naszego wielkiego wodza, wspaniałego Adolfa Hitlera!

Obecni wstali, umilkły pijackie śpiewy, oczy skierowały się ku lubelskiemu szefowi policji i SS.

– Wznoszę też toast za jego prawą rękę i najwierniejszego pomocnika, Heinricha Himmlera! Niech spełnią się ich sny o potędze, wspaniałe marzenia o wielkiej Tysiącletniej Rzeszy!

Przechylił kieliszek wypełniony krzepką rosyjską wódką.

– *Sieg Heil!* – wrzasnął, wyrzucając przed siebie prawą rękę.

– *Sieg Heil!* – odpowiedzieli obecni w ten sam sposób.

Josef Genscher po raz pierwszy przebywał w tak znakomitym towarzystwie. Na przyjęcie przybyli wszyscy dostojnicy z całego regionu, brakowało jedynie przedstawiciela gubernatora Franka. Rząd Generalnego Gubernatorstwa uważał, że akcja wysiedleń jest prowadzona ze zbyt wielkim rozmachem, że trzeba ją przeprowadzać konsekwentnie, jednak bardziej stopniowo. Genscher słyszał przed przyjęciem, jak *gruppenführer* kłął do *obersturmbannführera* Mischnera, że Hans Frank otrzymał raport o materialnych stratach, jakich przysparza i może jeszcze przysporzyć gwałtowna likwidacja polskich gospodarstw. Poza tym władze obawiały się odwetu sił zbrojnego podziemia, jeśli działania w ramach Wielkiego Planu będą przebiegały zbyt radykalnie.

– Nie ma takiej siły – ciągnął bełkotliwie Globocnik – która cofnie nas z drogi, jaką wskazali przewodnicy wielkiej sprawy narodowego socjalizmu! Nie ma takiego człowieka, który zdoła zapobiec nieuchronnemu, nawet żydokomunistyczny sługus, ta tłusta świnia Churchill, nie zahamuje ekspansji germańskiego żywiołu. Wypijmy za powodzenie *Große Planung!* Za kolonizację wschodnich rubieży Trzeciej Rzeszy! Jeśli ktoś stanie nam na drodze, zmieciemy go jednym ruchem!

Tym razem dłonie wzniosły się z mniejszym entuzjazmem. Wszyscy wiedzieli, do czego esesman pije. Niewielu było takich, którzy chcieliby szukać zaczepki ze zwierzchnikiem Generalnej Guberni. Jednak Globocnik zbyt uważnie śledził poczynania gości, żeby ktoś odważył się nie wychylić kieliszka do samego dna. Genscher ze zdumieniem zauważył, że oczy na pozór pijanego w sztok policjanta są czujne i bystre. Właśnie takich ludzi należy się obawiać najbardziej – nigdy nie tracą czujności i rozeznania, zawsze są gotowi podjąć błyskawiczne decyzje, działać z całą bezwzględnością. Wielki Odilo niezmiernie imponował folksdojczowi, który czuł się wśród wysokich funkcjonariuszy niczym wiejski burek wpuszczony z nienacka do wielkiego, eleganckiego salonu. Dlatego pił mniej od innych, a przy tym, zżerany tremą, nie czuł, żeby alkohol działał na niego tak jak zwykle. Spojrzenie Globocnika spoczęło na gestapowcu. Dostojnik uśmiechnął się promiennie. Genscher odpowiedział nieśmiałym skrzywieniem warg. Esesman wskazał go uprzejmym gestem dłoni, w której dzierżył kieliszek.

– Szczególne podziękowania należą się naszym miejscowym sprzymierzeńcom. Wychowali się we wrogim kraju, od dzieciństwa wpajano im nienawiść do naszego narodu, a mimo to nie zapomnieli, kim są, nie zabili w duszy idei Wielkich Niemiec! Potrafią wyrwać z serca zbędne uczucia, bez wahania wyrzec się rzeczy wydających się najcenniejszymi.

Genscher już przedtem podejrzewał, że Jurgen Mischner opowiedział przełożonemu o incydencie z matką, ale teraz zyskał pewność.

– A ja – mruknął siedzący obok folksdojczka szef lubelskiego oddziału SD – wypiłbym raczej za cudowny zadek madame Elizy.

Gospodarz spojrzał w kierunku mówiącego, zmarszczył groźnie brwi. Genscher struchlał. Niebezpiecznie przebywać w pobliżu takich, którzy bezmyślnie narażają się na gniew możnych tego świata. Czekał w napięciu na eksplozję złości. Ale wybuch nie nastąpił. Zamiast tego rozległ się śmiech Globocnika.

– Masz rację – zawołał. – Zaraz wrócimy do toastu za naszego nowego przyjaciela. Damom należy się pierwszeństwo. Nie obrazi się pan, drogi Josefie?

Gestapowiec przełknął ślinę, z wysiłkiem przywołał na usta uprzejmy grymas i pokręcił głową.

– Doskonale! Zatem pijmy za istotnie wspaniałą tyłek

pięknej Elizy, jej nogi przypominające greckie kolumny i cycki, w których mogłaby się ukryć cała podwodna flota admirała Dönitza i pancernik Bismarck!

Odpowiedziało mu gromkie rżenie zadowolonych oficerów. Globocnik uniósł kieliszek, jednak tym razem nie wypił. Zapatrzył się w kąt, w którym stał kuty świecznik zrabowany z jakiegoś szlacheckiego dworku. Obecni czekali cierpliwie, aż gospodarz dopełni toastu.

– Co się dzieje, Odilo? – zawołał wreszcie ktoś z końca stołu. – Zobaczyłeś ducha?

Globocnik wzdrygnął się, spojrzął po zaniepokojonych twarzach, a potem odchylił głowę do tyłu i głośno zarechotał. Wlał w gardło wódkę, podstawił kieliszek do napełnienia.

– Za długo siedzicie w tej pełnej zabobonów ziemi. – Otarł łzę z kącika oka. – Łatwo was przestraszyć. A teraz wypijmy zdrowie mojego drogiego gościa, który po raz pierwszy uczestniczy w naszym małym mityngu! Mój drogi Genscher – zwrócił się do gestapowca – w twoje ręce!